





Mogą mi kiedyś oddać

Rozmowa z Brygidą Helbig

Interesujesz się biografizmem i biografiami, Twoja biografia jest zresztą w pewnym stopniu widoczna w książkach, które piszesz. A jak podchodzisz do swojej biografii jako pisarki o płynnej tożsamości e-migracyjnej? Podejrzewamy, że teraz czujesz się już bardziej pisarką migracyjną.

[Śmiech] W czasach, kiedy byłam prawdziwą emigrantką, jeszcze nie publikowałam. Zaczęłam publikować właściwie wtedy, gdy trauma emigracji była już dawno przezwyciężona.

Jednak o tej traumie pisałaś.

Pisałam, ale z pozycji kogoś, kto ma to już dawno za sobą. Czy od tego czasu coś się zmieniło? Na pewno w „Aniołach i świniach. W Berlinie!”¹ jakoś przerabiałam emigrację. To była faktycznie emigracja z prawdziwego zdarzenia. Wiadomo: żelazna kurtyna, niemożność powrotu, straszliwe cierpienie przez pięć lat, chęć powrotu, rozdarcie, tragedia. To oczywiście przerabiałam w „Aniołach i świniach”, ale też nie dlatego, że czułam jakąś ogromną potrzebę przepracowania tak zwanej traumy, tylko dlatego, że przeczytałam „Klub Kiełboludów”² Leszka Oświecimskiego i bardzo mnie ta książka rozbawiła. Chwyciłam po prostu ten humor, miałam ochotę coś w tym stylu napisać, tylko może troszeczkę bardziej o kobietach, podczas gdy Leszek pisał o trzech męskich emigrantach z lat 80. Zastanawiam się, na jakim by-

łam wtedy etapie. Nie wiem, na pewno miałam potrzebę opowiedzenia tej historii. Taką historię chce się opowiedzieć.

I czytać.

Tak, i czytać.

Sama też pewnie chętnie czytasz podobne historie?

Pewnie. Czytam historie innych emigrantów. Lubię to, po prostu to czuję. Ale pytanie było inne. Myślę, że różnica polega na tym, że w migrowaniu nie ma już żadnej tragedii, żadnego rozdarcia.

Jest wybór?

Wybór pozorny, bo jak się tyle lat mieszkało w Niemczech, to już jakby wyboru nie ma. Aczkolwiek wiele osób jakimś cudem wraca do Polski, ja też faktycznie jedną nogą jakby wróciłam.

Ale drugą nie.

No tak, tylko jedną. A może tylko połową nogi [śmiech].

Wygodnie Ci jest w paradygmacie migracji? Umieściłabyś w nim siebie?

Tak, oczywiście, umieściłabym się. Bo jednak jest różnica między nami a osobami, które mieszkają w Polsce, ale także najmłodszymi, które w ogóle nie przeżyły tego głębokiego rozdarcia, tęsknoty, poczucia obcości, a czasem i dyskryminacji, przynajmniej na początku pobytu w Niemczech. Nadal jest emigracja zarobkowa osób, które zapewne czują się obywatelami drugiej kategorii albo w ogóle nieobywatelami. Jeżeli natomiast mówimy o ludziach po studiach czy jeszcze studiujących, to faktycznie oni poruszają się swobodnie po wielu

krajach, mówią doskonale po angielsku. Człowiek, który porozumiewa się bezbłędnie w języku angielskim i ma wykształcenie, to raczej w Niemczech spotyka się z szacunkiem niż z dyskryminacją. Tak mi się wydaje. Natomiast w naszym przypadku było zupełnie inaczej.

Widzisz raczej różnicę międzypokoleniową.

Tak, chyba międzypokoleniową. Chociaż dzisiaj i my sami też jesteśmy w ruchu i skończyła się ta sytuacja rozdarcia. Niemniej jednak to, co przeżyliśmy, jakoś w nas tkwi. Tego się nie da zapomnieć, to nas ukształtowało.

I chyba chodzi o to, żeby nie zapomnieć?

Nie ma takiej potrzeby (żeby zapomnieć). Dlatego myślę, że to nie jest tak, że teraz jesteśmy nagle innymi ludźmi, wolnymi migrantami.

Zatem Brygida Helbig – pisarka migracyjna. Tak jesteś przedstawiana na spotkaniach autorskich?

Chyba tak, bo rzeczywiście nie można już dzisiaj mówić, że jestem pisarką emigracyjną.

Chociaż pytanie o emigrację wraca. Tak jak u nas na spotkaniu z Tobą w Collegium Polonicum. Musiałyśmy je zadać.

Wraca, zawsze wraca, bo to jest jednak ciekawe, także dla osób mieszkających w Polsce. Mimo wszystko jest to doświadczenie intensywne i Polacy na ogół też zdają sobie z tego sprawę. Chcą znać tę historię, moje położenie, stosunek do tożsamości narodowej i do tego typu kwestii. Ale są też osoby, które na przykład po przeczytaniu artykułu w „Polityce”³, gdzie zaliczono mnie do pisarek migracyjnych czy cudzoziemek, zaczęły się śmiać. Spotkałam ludzi pracujących tu

w Słubicach, którzy mówili: „Słuchaj, Ty jesteś pisarką migracyjną? Przecież jesteś tutaj”. Jakoś nie dociera do nich, że mieszkam w Berlinie. Skoro pracuję w Słubicach, jestem tu co kilka dni...

Która perspektywa dominuje na spotkaniach z czytelnikami w Niemczech: ta już nieco przestarzała emigracyjna czy raczej migracyjna?

Do tej pory pisałam w języku niemieckim głównie książki naukowe i pojedyncze opowiadania. Po niemiecku napisałam też sztukę, która jest teraz grana w Teatrze Studio am Salzufer w Berlinie. Niewiele miałam jeszcze takich spotkań, gdzie przedstawiałabym swoje książki pisane po niemiecku (choć przedstawiałam fragmenty tłumaczeń „Niebka” i „Enerdownców” na niemiecki). Chociażby z tego powodu słuchacze niemieccy widzą we mnie pisarkę-migrantkę. Wiedzą, że mieszkam w Niemczech, ale piszę po polsku, i to wystarczy.

Wystarczy język?

To jest wyróżnik jednoznaczny: język i miejsce zamieszkania. Gdybym mieszkała w Polsce i pisała po polsku, byłabym polską pisarką, a tak jestem jednak migrantką. Mam po prostu inne korzenie. To właściwie wszystko.

Pytamy o to, bo same ciągle się nad tym zastanawiamy. Widać wyraźnie, że coś się zmienia w polskich badaniach, jeśli chodzi o literaturę związaną z wyjazdami za granicę. Wychodzi na to, że w odniesieniu do twórczości emigrantów z lat 80. powinniśmy obecnie używać jednak takich pojęć, jak migracja, migrantka, migrant.

Zgadza się, chociaż jak by właściwie powiedzieć o tych osobach, które



nadal emigrują z powodów zarobkowych? Dla nich jest to jednak jakiś przymus. Czasem również, jak pisze Christian Trepte, przymus z powodów obyczajowych. Wtedy też nie ma wolnego wyboru, tylko jakaś konieczność, rodzaj może już nie politycznej, ale jednak opresji.

Może nawet opresji politycznej, tylko inaczej zabarwionej? Tak jakby polityczność w odniesieniu do emigrowania z Polski też zmieniła charakter.

Tak, dokładnie. Nie cenzura, ale kwestie gospodarcze, a także wpływ kościoła na politykę czy na obyczajowość. To też niektórych może zrażać.

W Poznaniu mieliśmy tego ostatnio doskonały przykład.

Skandal ze spektaklem „Golgota Picnic” pokazuje, że opresja religijna to faktycznie problem. Nie wiem tylko, czy osoby, które emigrują z powodów zarobkowych, piszą. Chociaż Justyna Polańska napisała „Unter deutschen Betten”⁴. Sama pewnie tego nie napisała, ale jest to mimo wszystko również jakiś rodzaj literatury emigracyjnej.

Ta historia jest teraz wystawiana i to w tzw. gwiazdorskiej obsadzie.

Tak? Wystawiana? Coś podobnego! No nie!

Mówiliśmy o spotkaniach autorskich, ale nie zadałyśmy Ci jeszcze pytania, które stawiamy chyba wszystkim naszym gościom: czym się różnią spotkania w Polsce i te, które dosyć często masz w Niemczech?

Nie aż tak często, ale dzięki za pytanie. Będę miała niedługo wieczory autorskie w Siegen i Bochum, ale to dopiero przede mną.

W Siegen? Wiesz, co się tam kiedyś przytrafiło Krzysztofowi M. Załuskiemu?

Co?

Na spotkaniu grożono mu siekierą.

[Śmiech].

Polonia groziła mu, że żywy stamtąd nie wyjdzie, jeśli już, to z siekierą w plecach.

Nie! [Śmiech]. Niewykluczone. Na przykład sztukę na motywach mojej twórczości wszyscy odbierają jako oskarżanie Niemców. Reżyserka Janina Szarek wzmocniła jeszcze tę wymowę... Nie do końca jestem za to odpowiedzialna, ale wyszło na to, że jestem ofiarą Niemców i po prostu koniec. Na szczęście jest w tym dużo autoironii i poczucia humoru.

Czyli sztuka jest oskarżycielska?

Wychodzi na to, że tak.

Musimy to koniecznie zobaczyć. A jak z różnicami między polską a niemiecką publicznością?

Zaraz opowiem o różnicach, jedną rzecz muszę tylko dodać jeszcze do emigracji. Na przykład Magda Parys, jak wiecie, była moją studentką, więc znam ją dość dobrze. Ona mimo wszystko, mimo że przyjechała do Niemiec jako dziecko, podobnie jak siostra Doroty Danielewicz-Kerski, która prowadzi stowarzyszenie Kosmopolen, też przecież czuła się, przynajmniej kiedyś, emigrantką i do dziś, jak mi się zdaje, ma podwójną tożsamość.

Trudno się tego chyba wyzbyć.

Może to jest tak, że emigrantami czują się ci, którzy wyjechali z zamiarem pozostania na stałe, a migranci to osoby, które po prostu nie wyjeżdżają, żeby zostać, tylko chcą sobie podróżować albo побыć jakiś czas tu, jakiś czas tam. Myśmy wyjeżdżali z zamiarem pozostania, a te osoby, które jako dzieci czy nastolatki, tak jak Magda Parys albo Dorota i Emanuela Danielewicz, wyjeżdżały z rodzicami, też wiedziały, że to jest okropne, że żegnają swój kraj, często płakały przerażone, nie chciały wyjeżdżać i czuły, że to, co się w tamtej chwili działo, było straszne. Więc nie powiedziałabym, że ci, którzy są dziesięć lat młodszy...

Podobno emigracyjność zatracą się właściwie dopiero w czwartym pokoleniu.

To jeszcze zależy, tak jak już wiele razy mówiłam, od wyglądu: czy jest to wygląd odpowiadający standardom, jak by to powiedzieć [śmiech], aryjskim, bo jeżeli nie, to drugie i trzecie pokolenie też jeszcze nie będą tak bardzo zasymilowane.

Nawet w takim mieście jak Berlin? Tam też ma to znaczenie?

Ależ oczywiście. Dużo bardziej niż myślimy. Aczkolwiek wiele osób mi powie, również Polaków, że ja coś wymyślam. Zapytajcie Turków, to wam powiedzą. Ja mówię przede wszystkim za nich, chociaż za Polaków trochę też.

Za tych wszystkich gorszych.

Za tych rzekomo gorszych, chociaż za Polaków mówię też dlatego, że od początku dawano nam do zrozumienia, co podkreśla we wspomnianej inscenizacji mojej sztuki „Engel, Schweine und Heiligen-

scheine” Janina Szarek, że np. nasza matura nic niewarta, że jesteśmy trochę nieucywilizowani itp. Nie wiem, zawsze, nie zawsze, ale czuło się pewną arogancją w obchodzeniu się z nami także na studiach, na przykład na sławistyce. Zawsze było wiadomo, że tam są te gorsze studentki, tzw. „Muttersprachlerinnen”.

To ważne, co mówisz, szczególnie że jesteście w Słubicach, miejscu „przejścia” między gorszością a lepsznością. A to dobre miejsce do takich rozważań.

Dobre miejsce, dobre. Ale żebym nie zapomniała odpowiedzieć na pytanie o różnice. Ponieważ nie piszę jeszcze dużo po niemiecku, traktuje się mnie jako pisarkę emigracyjną. Nawet spotkania są organizowane w tym celu i mają taki profil, bo przecież nie jestem pisarką niemiecką, ale nie jestem też do końca polską oczywiście.

Widzisz różnice w zachowaniu publiczności na spotkaniach?

Ojej, Polacy są bardziej nieśmiali, słabo reagują, już nawet na tej sztuce wczoraj w Szczecinie. Ale okej, nie rozumieli tekstu w stu procentach, więc może nie mogli intensywnie reagować. Ale żeby tak wcale? Zawsze po takich spotkaniach myślę, że ludziom się nie podobało. Często okazuje się, że podobało się, tylko że właśnie tego nie pokazują, troszeczkę wstrzymują się z reakcją. Chyba, że są to środowiska już bardzo obyte literacko, wtedy nie ma problemu z dyskusją. Ani w Polsce, ani w Niemczech.

Polacy jako publiczność są bardziej zachowawczy?

Tak, są zachowawczy. Niemcy dużo chętniej dyskutują, stawiają pytania. Nawet gdy nie przeczytali tekstu, zawsze mają coś do powiedzenia. Zazwyczaj też na spotkaniach w Niemczech więcej się czyta.



Pisarze dzielą się na tych, którzy spotkania lubią i spotkań nie lubią. A Ty chętnie na nie wybywasz?

Tak, lubię spotkania, ale takie, podczas których jest też czas na rozmowę, gdy słuchacze mają szansę, żeby o coś zapytać. Powstaje jakaś dyskusja. Czytać owszem, ale nie tylko czytać, wydaje mi się, że obie strony mają z tego dużo więcej, jeżeli wydarzy się jakaś rozmowa.

Byłaś kiedyś na spotkaniu, po którym poczułaś, że...

...warto pisać? [Śmiech].

To na pewno wielokrotnie. Ale że byłaś nie na tym miejscu, że...

Jest źle?

...że nie czułaś miejsca, ludzi.

Tak, tak bywa. Ale też dwa razy zdarzyło mi się, a może tylko raz w życiu, że poczułam się czymś niesiona, jakbym fruwała. Niedawno przeczytałam, że niektórzy aktorzy, twórcy znają takie uczucie. Tego nie można wymusić w zasadzie żadną techniką, to zależy od publiczności, od sytuacji, od wszystkiego. Raz czy dwa razy czytając tekst, nie wiem dlaczego, czułam, że to dochodzi. I po prostu jakbym już nie była sobą, tylko, jak to się mówi, *als ob Ich geschwebt wäre...*

Jakbyś się gdzieś unosiła?

Dokładnie. Taka, nie powiem, że ekstaza, ale jakieś mistyczne wręcz uniesienie. To faktycznie wieczory, kiedy ludzie są autentycznie poruszeni, oni nie muszą nic mówić, to się czuje. Ale zdarza się rzadko. A czy miałam gorsze spotkania? Tak, najczęściej wtedy, kiedy właśnie nie było żadnych reakcji. Wtedy się zmuszam, żeby mówić dalej. Tłumaczę sobie, że to nic nie znaczy [śmiech].

Bo Ty na pewno na bieżąco analizujesz sytuację.

Właśnie, na bieżąco trzeba wszystko wciąż analizować.

Czy padły kiedyś pytania, które zupełnie Cię zaskoczyły?

Nie było nic aż tak spektakularnego. Pamiętam najwyżej, ale to rzadko się zdarza, że było mało pytań, że publiczność była onieśmielona, słabo reagująca. To najgorsze, co mi się do tej pory zdarzyło.

To zależy od tego, kto przychodzi na wieczór autorski. Wydarzenie, o którym mówię, to był akurat festiwal w Greifswaldzie, więc przyszły różne osoby, także takie, które się na literaturze mniej znają i dopiero po spotkaniu miały odwagę o coś zapytać. W dodatku było to spotkanie bez moderatora, a za tym nie przepadam. Miałam półtorej godziny, zmuszałam się, żeby wytrwać do końca, tak naprawdę chciałam zrobić coś innego, tylko się nie odważyłam. Przygotowałam sobie w domu scenki różnego rodzaju, miałam nawet całą walizkę różnych rekwizytów. A to jakieś boa, a to jakieś zabawki. Słuchajcie, chciałam wystąpić.

Monodram wystawić, jak Janda.

Chciałam, ale opuściła mnie odwaga.

Szkoda [śmiech].

Zostawiłam walizkę zamkniętą, nic nie wyjęłam.

Jest w Tobie jakaś potrzeba performansu autorskiego.

Chciałam być kiedyś oczywiście aktorką, ale to jednak trzeba ćwiczyć, może najpierw w mniejszym gronie [śmiech], wśród przyjaciół, w domu, a nie od razu przed obcą publicznością. Ale jest jedna rzecz, na którą się wtedy odważyłam, rozmawiałam z publicznością na sto-

jąco, a zazwyczaj chowam się za stołem. Tutaj przynajmniej odważyłam się stanąć. Jestem na zdjęciach osobą stojącą.

A jak się czujesz jako pisarka promowana w związku z Twoją najnowszą książką? W porównaniu do poprzednich utworów „Niebko”⁵ ma intensywną promocję. Czy odbierasz to jako coś uciążliwego, męczącego?

Rzeczywiście parę osób związanych z kulturą, literaturą zaprosiło mnie na kilka wieczorów literackich. Byłam w Krakowie, byłam we Wrocławiu, gdzie jeszcze, w Berlinie, w Szczecinie, w Poznaniu...

A kiedy tak sobie podróżowałaś, nominowano Cię do Nagrody Literackiej Nike! Jeszcze raz Ci gratulujemy⁶.

Dziękuję, dziękuję.

„Niebko” jest też nowym otwarciem, jeśli chodzi o intensywność Twojej obecności w obiegu literackim.

Jest dużo bardziej intensywnie odbierane niż moje poprzednie książki. Chociaż „Enerdowce i inne ludzie”⁷ też już miały większy odbiór niż „Anioły i świny”. Zaczęłam skromnie, od „Pałowy”⁸, wydanej wspólnie z Krzysztofem Marią Załuskim. Po „Niebku” dostałam dużo więcej listów, maili, że kogoś poruszyło, że dla kogoś stało się ważne. Dużo więcej pozytywnego feedbacku dostałam również prywatnie, ale są także osoby, które mówią, że wolały te moje humorystyczne, satyryczne utwory, że „Niebko” jest dla nich zbyt melancholijne.

Przecież tu też jest Twój humor i ironia.

Są, ale subtelniejsze.

Ogólnie oczywiście cieszę się, ale jest to też, jak wiadomo, męczące.

Nie będę jeszcze narzekać na sukces [śmiech], bo to by była przesada. Nie można. Jednak jest to jak do tej pory mój największy sukces, więc czuję obciążenie ciągłymi wyjazdami, nie jestem do nich przyzwyczajona. Mam też wyrzuty sumienia, że prawie nie mam czasu na normalne życie albo na bycie literaturoznawczynią.

Rozmawiamy na razie o Twojej twórczości literackiej. A tymczasem, jak wiadomo, jesteś też literaturoznawczynią. Właśnie – kim bardziej, Brygido? A może równowążysz te dwie role?

Właśnie w tej chwili równowaga została trochę zachwiana i to mnie akurat niepokoi. Bo ja jej bardzo potrzebuję, również w normalnym, codziennym życiu. Poza tymi obiema rolami muszę coś robić dla rodziny, dla znajomych, aby czuć się dobrze. Wtedy znowu czuję się do brym człowiekiem. A jak wciąż tylko gdzieś jeżdżę, to czuję się bardzo złym człowiekiem.

Egoistycznym?

Tak, że sobie gdzieś cały czas jeździ. Promuje się, zamiast robić coś pożytecznego dla ludzi.

To bardzo kobiece podejście. Naprawdę!

Może to jest kobiece, mam bardzo duże wyrzuty, nie kokietuję, tak po prostu jest. I dlatego dobrze jest mieć jeszcze coś innego, na przykład pracę naukową. Kim jestem bardziej? Kiedy dostałam pracę na Uniwersytecie Humboldtów, byłam przerażona, nigdy nie myślałam, że będę w ogóle pracować na uczelni. Będąc młodą osobą, nie miałam wiary w swoje możliwości tego typu. Zawsze bardzo chętnie pisałam i zajmowałam się literaturą od strony fachowej, na studiach z wielką przyjemnością. Odczuwałam to jako swoje powołanie, chciałam też być krytycz-

ką. Niemniej jednak nie myślałam nigdy o karierze naukowej. Dopiero gdy na slawistyce w Bochum zgłaszały się do mnie kolejne osoby, prosząc o napisanie pracy magisterskiej [śmiech], to poczułam, że może jednak coś potrafię. I jedna koleżanka powiedziała do mnie: „napisz pracę doktorską, bo magisterką to wszyscy piszą”. Ja na to: „pracę doktorską?”, a ona: „tak, ty to zrobisz małym palcem”, *mit links*. Czy jestem literaturoznawczynią? Jestem, dla wyrównania lubię popracować naukowo.

Jednak bardziej czujesz się pisarką, artystką?

W tej chwili chyba tak. Ale praca naukowa dobrze mi robi, to po prostu nie jest zajęcie narcystyczne, tylko rozwijające. Siedzenie w bibliotece i czytanie ciekawej literatury naukowej to dla mnie też wielka przyjemność i poczucie, że się rozwijam. Mam wrażenie, że robię tego za mało. Nie lubię pisania projektów, szukania literatury. Ale jak już ta literatura i ten projekt są, to sama przyjemność.

Czy w takim razie świadomość tych wszystkich kryteriów, narzędzi, które posiadasz jako literaturoznawczynie, pomaga Ci czy przeszkadza w pisaniu literackim?

Zawsze mówię, że to pomaga, nie widzę powodu, dla którego miałyby przeszkadzać. Chociaż wiele osób tak uważa, ale to chyba ludzie, którzy wolą literaturę bardziej popularną, jednowymiarową. Mówią może wtedy: „o, ona tak pisze, bo jest literaturoznawczynią, to sobie tam wymyśla, komplikuje i tak dalej”.

I stąd ta cała intertekstualność [śmiech]. A już po co jej w „Niebku” Schulz?

Tak, właśnie [śmiech]. Na siłę demonstruje swoje odczytanie, Schulza czyta... Chyba boję się krytyki niezyczliwych osób. Już raz czytałam

dziwną rzecz w internecie. Czasem wolałabym się schować po prostu. Wiele osób boi się sukcesu, bo wiadomo, że jak się jest na świeczniku, to różne rzeczy mogą nas spotkać. Po prostu boję się tego zła, które może się wtedy gdzieś odezwać.

Jednak jako literaturoznawczynie wiesz też, jak powstają różne recenzje, na czym czasem polega krytyka, czym się różni dobry krytyk od słabego, gdzie ktoś recenzuje, a gdzie ktoś inny chce dołożyć.

Tak, na ogół po prostu nie czytam, jeżeli już widzę w pierwszym zdaniu, co jest grane. Rzucę okiem, aha, paszkwil, zamykam. Ale czasem coś do mnie dotrze perfidnego. Jasne, bycie literaturoznawczynią wtedy pomaga, ma się większy dystans.

Słychać, że załączeniem ról, o których rozmawiamy, kryje się ogromny wysiłek. Może gdybyś była pisarzem a nie pisarką, byłoby łatwiej? Czy pisarze mają gorzej, tak samo, czy po prostu inaczej?

Ponieważ jako literaturoznawczynie zajmowałam się też feminizmem, to trochę zmuszam się do sukcesu. Bo czuję taką odpowiedzialność. Właściwie czasem wydaje mi się, że lepiej byłoby pisać bardziej dla siebie albo publikować w małym kręgu, dla własnej przyjemności. Jednak wiedza, którą jako kulturoznawczynie posiadam z zakresu *gender*, niejako zmusza mnie do tego, żebym trochę starała się o sukces. Wiem, że kobiety nie robiły tego przez dziesiątki, setki lat, nie robiono też tego dla nich. I jest w tym pewne zobowiązanie, raz że zbiorowe, a dwa – prywatne. Znając wiele kobiet, widząc ich frustracje, chciałabym tego uniknąć. Cóż, kobiety są często mniej zdeterminowane, żeby osiągnąć sukces, żeby mieć wpływ na cokolwiek. Ja też nie

zostałam wychowana w ten sposób, żeby mieć na cokolwiek wpływ, żeby w taką możliwość uwierzyć. Nieraz wolałabym mieć nad sobą jakiegoś pana profesora albo kogoś, kto mi powie, co mam robić, a ja sobie tam coś popiszę, porobię. Lubię też bardzo samotność, lubię sobie popisać, poczytać jakiś wierszyk. Zmuszam się jednak do roli osoby, która chce mieć na coś wpływ, z czasem zresztą odkrywa się w tym przyjemność. Ale trzeba się przełamać, to znaczy przestać być osobą, która tylko przyjmuje jakieś oferty, zgadza się lub nie zgadza, ale osobą, która ma inicjatywę i idzie z czymś do świata, czyli przejawia proaktywność. Bardzo dużo mnie ta rola kosztuje, jednak stanowczo za mało kobiet się tej roli podejmuje, więc zdaję sobie sprawę, że powinnam.

Społeczny kontekst kobiecy, który poruszyłaś, pokazuje, że Twoje pisanie to pisanie empatyczne. Nie dotyczy oczywiście tylko Ciebie, chociaż w wątkach biograficzno-autobiograficznych być może tak, ale robisz to również „po coś”.

Tak, a poza tym wątki autobiograficzne też nie są po to, żeby eksponować swoją osobę. Niektórzy nieraz odbierają to w ten sposób. Jedna rzecz wydaje mi się szczególnie ważna – dopóki nie poznamy samych siebie, nie możemy też poznać i zrozumieć innych. Musimy najpierw odkryć, jakie mieszkają w nas demony, jakie są mechanizmy naszych reakcji. Jeżeli nie rozumiemy siebie, to reagujemy jakoś automatycznie, bez głębszej świadomości. Czynimy w świecie dużo złego, wydaje mi się, także innym ludziom, bo nie pojmujemy ani innych, ani siebie. Więc sądzę, że naszym podstawowym i wcale nie narcystycznym zadaniem i obowiązkiem jest poznać i zrozumieć siebie. Jeśli robimy to w sposób autentyczny, szczerzy, co nie znaczy, że oddajemy w stu procentach zewnętrzną prawdę naszej biografii, to chociaż inni mają





inny życiorys, poczują się poruszeni i zaczną też lepiej rozumieć samych siebie. Nie mnie, bo przecież nie o to chodzi, żeby ktoś *mnie* rozumiał! Istotne jest to, aby odezwało się jakieś echo, żeby te osoby znalazły w mojej opowieści coś z siebie.

Nie mogłabyś zacząć swojego dziennika jak Gombrowicz, prawda?

[Śmiech] Chyba bym zwariowała... Nie mówię, że Gombrowicz był chory, ale gdyby faktycznie tak żyć...

Masz po prostu zupełnie inaczej skierowany wektor. Często posądzają się pisarzy mężczyzn, że są tacy ukierunkowani na siebie.

Może to jest też i różnica płci. Na pewno jesteśmy też troszkę inaczej wychowywane niż mężczyźni, chociaż nie mówię, że wszyscy pisarze płci męskiej są narcystyczni.

Jednak badając literaturę emigracyjną i migracyjną, obnażasz męskie mechanizmy narracyjne. A do tego piszesz o nich w taki sposób, że pewnie niektórych autorów to dotyka?

Tak.

Jesteś ironiczna, również w tekstach naukowych. To oczywiście subtelna ironia, ale Twoje piśmiectwo naukowe przypomina w tym też trochę Twoją literaturę. Zastanawiamy się, jak pisarze reagują na takie artykuły jak „Penis w opałach”?

Ostatnio też taki tekst znowu o nich napisałam. Nie piszę o kobietach migrantkach, bo to byłoby w moim przypadku niezbyt zręczne, więc lepiej pisać o mężczyznach, a poza tym dlaczego nie? Niech o mężczyznach też ktoś pisze, warto pisać o męskiej literaturze z perspektywy genderowej, a nie tylko ogólnoludzkiej.

Rewindykacje są zawsze potrzebne. Czy wiesz, jak oni to odbierają?

Ogólnie nie mają nic przeciwko. Z tego, co wiem, są zadowoleni.

Nawet, gdy tekst nosi tytuł „Penis w opałach”?

[Śmiech] Nikt mi jeszcze nie powiedział, że ma o to jakiegokolwiek pretensje. Lubię mocne tytuły. Nie wiem, z jakich przyczyn panowie się nie skarżą. Leszek Oświecimski jest zadowolony, chociaż czasem mówi, że chyba go szkaluję, ale z drugiej strony cieszy się, że jest przedmiotem analiz. Podobnie jest z innymi. Zresztą ja nie jestem tylko ironiczna, staram się być też empatyczna i rozumieć te opaly, w których oni też się jednak jakoś znaleźli.

Mimo że jesteś kobietą, spotykacie się gdzieś na płaszczyźnie inności emigranckiej albo gorszości, kiedy na przykład opisujesz Ossis.

Oczywiście! Spotykamy się, to mamy wspólne. Myślę też, że oni jednak niektóre rzeczy związane z emigracją przeżywają jeszcze silniej – właśnie jako mężczyźni. Dla nich, wychowanych w społeczeństwie patriarchalnym mężczyzn, którzy naprawdę powinni odnieść sukces, emigracja może być jeszcze większym dramatem. Tym bardziej, że dość często odchodzą od nich polskie żony. Kobietom emigrantkom porzucenie przez męża Polaka rzadziej się zdarza.

Dlaczego?

Dlatego, że oni stają się na emigracji często mniej atrakcyjną partią niż inni potencjalni partnerzy. I tu moja feministyczna perspektywa okazuje się przyjazna mężczyznom, czego oni nieraz nie czują, więc w prywatnych rozmowach staram się im to tłumaczyć. Mówiąc o tym, żeby rozluźnić role płciowe i związane z nimi naciski społeczne, mam

też na myśli, żeby również im było lepiej. Krzysztof Niewrzęda też jest zadowolony. Dariusz Muszer miał może na początku trochę obiekcji, ale zrozumiał, że ja szczerze lubię jego poezję, mimo że jest taka, jak to się mówi, „męska”. Lubię ją dlatego, że on wypowiada się w swoich tekstach właśnie jako mężczyzna, co prawda jako mężczyzna patriarchalny, ale jako mężczyzna. Pisze z ironią, która powoduje, że to się bardzo fajnie czyta. Nie zgadzam się może do końca z tym, co on pisze, ale podoba mi się, że on nie pisze o sobie tylko jako o *człowieku*, ale właśnie jako o *mężczyźnie*. To jest w nim, moim zdaniem, awangardowe. Ale mogą mi kiedyś oddać, kto wie, może kiedyś napiszą coś takiego o kobietach, pisarkach, że to my stylizujemy się na ofiary.

Nie podpowiadaj tematu. Ułatwiasz im zadanie.

[Śmiech].

To chyba dobre zakończenie dla tej rozmowy: „Mogą mi kiedyś oddać”.

[Śmiech].

- ¹ Brygida Helbig, „Anioły i świnie. W Berlinie!”, Forma, Szczecin 2005.
- ² Leszek Oświęcimski, „Klub Kiełboludów”, Wydawnictwo Nieudaczników, Berlin 2002.
- ³ Justyna Sobolewska, „Cudzoziemki”, <http://www.polityka.pl/tygodnikpolityka/kultura/1574435,1,nasze-pisarki-na-obczyznie.read>, data dostępu: 10 listopada 2014.
- ⁴ Justyna Polańska, „Unter deutschen Betten”, Droemer Knauer, Monachium 2011.
- ⁵ Brygida Helbig, „Niebko”, WAB, Warszawa 2013.
- ⁶ Powieść „Niebko” znalazła się następnie w ścisłym finale Nike w roku 2014.
- ⁷ Brygida Helbig, „Enerdownce i inne ludzie”, Forma, Szczecin, Bezrzecze 2011. Książka była nominowana do Nike w roku 2012.
- ⁸ Brygida Helbig, „Pałowa”, B1, Gdańsk 2000.
- ⁹ Brygida Helbig-Mischewski, „Penis w opałach. Doświadczenia kastracji i strategie odzyskiwania mocy w literaturze kilku polskich migrantów w Niemczech”, „Teksty Drugie” 2009, nr 6, s. 160-172.